MELISSA DARWOOD

PRYNCYPIUM



GENIUS CREATIONS

Melissa Darwood

PRYNCYPIUM



Pryncypium
Copyright © Melissa Darwood
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016

druk ISBN 978-83-7995-086-7
epub ISBN 978-83-7995-087-4
mobi ISBN 978-83-7995-088-1

Redakcja: Iga Wiśniewska
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski
Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Podmiejska 13 box 27
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl, www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

Moim bliskim, którzy od początku we mnie wierzyli.
Dziękuję za wasze wsparcie.

Spis treści

PROLOG 11

NOMEN SARAJ 13
NOMEN ZOLTÁN 15
NOMEN ÁNGELOS 23
NOMEN MAURITIUS 35
NOMEN MARATHA 51
NOMEN DÉMIOS 65
NOMEN MOSES 69
NOMEN ERIC 89
NOMEN HADWIG 99
NOMEN JONA 117
NOMEN WIRA 163
NOMEN LEV 187
NOMEN ANTONI 215
NOMEN GERARD 231
NOMEN KASJAN 263
NOMEN MUSOKE 279
NOMEN JOSEF 297

EPILOG 365

SŁOWNICZEK 369

Od Wydawcy

Drogi Czytelniku, tę książkę można czytać na dwa sposoby. Jeśli chcesz odkrywać jej tajemnicę w miarę czytania, nie zaglądaj na koniec. Jeśli jednak wolisz od początku poznać sens wielu sformułowań, z tyłu znajdziesz słowniczek, a w nim wszystkie potrzebne wyjaśnienia. Niezależnie od sposobu, który wybierzesz, życzmy, by lektura okazała się satysfakcjonująca.

PROLOG

Aniela uciekała przez dębowy las. Wilgotne liście jak pijawki czepiały się jej bosych stóp, a nadciągająca znad jeziora mgła zwilżała jej piegowatą twarz. Obejrzała się za siebie. Nie dostrzegła niczego poza trzynastowieczną budowlą, otoczoną gołymi drzewami. Była bezpieczna.

Zatrzymała się, by uspokoić oddech. Serce łomotało jej w piersi, a ciało dygotało jak w febrze. Ponownie odwróciła głowę i ujrzała kamienny kościół, którego okna wyglądały niczym wrota piekieł. Stał niewzruszony tym, co wydarzyło się w jego szarych murach. Poczuła lęk na wspomnienie lewitującego nad posadzką mężczyzny. Pomimo tego, że doskonale potrafiła odtworzyć w pamięci ten surrealistyczny obraz, jej rozum nie był w stanie racjonalnie go wytłumaczyć. Potrząsnęła energicznie głową. Chciała wyrzucić z pamięci widok Zoltana złączonego pępowiną z ołowianą ramą witraża.

Głos z oddali zawołał jej imię i wysoka postać mężczyzny wyłoniła się zza nagich drzew. Aniela od razu rozpoznała ten władczy chód. Jego chód.

Rozejrzała się. Gdzie nie sięgnęła wzrokiem, napotykała rzadki las, poorany wąwozami.

Wąwóz! To będzie jej droga ucieczki. Oby tylko wydostała się nim z przeklętego Arkan.

NOMEN SARAJ

Arkan w Polsce

Osiemnaście lat wcześniej

Siedmioletni chłopiec o czarnych, falujących włosach i ciemnoniebieskich oczach podciągnął kolana pod brodę i zapatrzył się w ogień, który tlił się w stylowym kominku. Bardzo dobrze słyszał, jak niania i lokaj szepczą między sobą. Zerkali na niego ze współczuciem. Ale kto by mu nie współczuł? Przecież niespełna dobę temu został sierotą.

– Taka tragedia. – Siwy mężczyzna oparł się o framugę drzwi do pokoju dziecinnego.

– Szkoda go. – Dołączyła do niego korpulentna kobieta. – Mówią, że czas leczy rany, a to jest silny chłopak. – Przestąpiła z nogi na nogę, dając odpocząć zbolałej łydce, napuchniętej od żylaków. – Ciężko mu będzie podnieść się po takiej stracie, tym bardziej że nie ma teraz nikogo.

– Ma nas i pana Maurycego. Doktor od zawsze był najbliższym przyjacielem rodziny. Nie zostawi małego na pastwę losu – zapewnił mężczyzna.

– Obyś miał rację. Może wzajemnie wypełnią sobie pustkę po stracie, jakiej doznali. – Niania przeżegnała się,

wznosząc oczy ku niebu, po czym odnalazła medalik zatopiony w fałdach szyi i pocałowała go. – Taka tragedia. To cud, że dzieciak przeżył.

Chłopak objął mocniej kolana i zamknął oczy.

Cud? Dopiero co siedział w samolocie ojca lecącym z Moskwy i wykłócał się z bratem o ostatnią bułkę z truskawką. Potem był silny wstrząs. Maska dyndająca przed oczami. Ciemność. A na koniec silne uderzenie, któremu wtórowały tarcie, piski i trzask.

Nikt nie przeżył. Nikt prócz niego. W jednej chwili stracił matkę, ojca i brata, a zyskał nowe życie. Nie wiedział, kim teraz będzie. Nie rozumiał, dlaczego został wybrany. Wszystko zdawało się tak nierealne jak jego sny sprzed katastrofy. Zawsze po rozmowie z ojcem widywał w nich córkę Maurycego. Obserwował ją bacznie, podglądał niczym szpieg. Z początku te wizje go bawiły. Były jak film biograficzny, z tym wyjątkiem, że bohaterkę znał z prawdziwego życia.

We wcześniejszych latach miewał podobne sny, lecz krótsze, rozmazane, z udziałem obcych ludzi. Dopiero miesiąc przed katastrofą stały się bardziej realne, a on zaczął się czuć, jakby posiadał drugie życie. Co noc, gdy jego mózg wchodził w fazę NREM, zagłębiał się w życie Sary. Badał wnikliwie jej osobowość i odkrywał zakamarki duszy, aż w końcu poznał każdą tajemnicę, każdą intencję i każdy uczynek. Zgłębił jej Nomen tak dobrze, że był w stanie stworzyć jego profil. Teraz Zoltan wiedział, dlaczego przenikał do życia Sary. Wczoraj, gdy obudził się we wraku samolotu, ulokował Nomen Saraj w ciele biorcy i został poddany wszczepieniu septyki.

NOMEN ZOLTÁN

Alwarnia w Polsce

Obecnie

Nie pamiętano tak upalnego czerwca. Ulice tonęły w mirażu kałuż, asfalt topił się jak gorzka czekolada, a chłodnice aut wyły niczym wygłodniałe psy. Zoltan zatrzymał się kilka centymetrów przed zderzakiem srebrnej skody octavii i zaklął.

Czy zawsze gdy przyjeżdża do tego przeklętego miasta wszystko musi stawać na głowie?! Zdjął skórzane rękawiczki, rzucił je na siedzenie pasażera, po czym zacisnął smukłe palce na kierownicy. Wpatrywał się gniewnie w czerwone światło, które nie zamierzało się zmienić przez kilka najbliższych minut. Nie dość, że żar lał się z nieba, a on musiał nosić koszulę z długim rękawem, to jeszcze jego niedouczona sekretarka zapomniała uprzedzić go o spotkaniu z Hermanami. Dobrze, że chociaż miał klimatyzację w aucie.

Z luksusowego smartfonu vertu, przymocowanego do przedniej szyby czarnego jak smoła maybacha exelero, wydobyły się dźwięki organowej fugi. Zoltan

przełączył aparat na tryb głośnomówiący i założył ręce za głowę.

– Oby to było ważne – powiedział.

– Panie Brandenburg… – zaczęła Joanna, która od niespełna miesiąca nieudolnie pełniła rolę sekretarki w jego firmie. – Nastąpiła mała komplikacja… – zawahała się.

– Mów. – Zerknął na zbliżającą się dziewczynę roznoszącą gazety, uchylił okno, wyciągnął rękę i kiwnął na nią.

– Właśnie dostałam informację od gońca, że nie będzie go w pracy przez najbliższy tydzień.

– I dlatego do mnie dzwonisz?

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę.

– Chodzi o to, że pan Stodolak znalazł się w ciężkiej sytuacji...

– Posłuchaj mnie uważnie – przerwał jej. – Nie obchodzi mnie jego sytuacja. Będę miał ważną przesyłkę do dostarczenia dzisiaj po południu. Jeśli ten nierób nie zjawi się o siedemnastej w biurze, to może pożegnać się z pracą – odparł i wychylił się przez okno, przeklinając pod nosem piekielną dziewuchę od gazet. Czy nikt już nie potrafi pracować jak należy?

– Ale panie Brandenburg, tak nie można – wtrąciła Joanna. – On ma zwolnienie lekarskie.

Na młodej, acz surowej twarzy Zoltana drgnęły mięśnie.

– Czy mi się zdawało, czy przed chwilą pouczyłaś mnie, co mogę, a czego nie? – zapytał.

Joanna zaniemówiła.

– Tak myślałem – stwierdził. – Nie będę z tobą dłużej dyskutował. Niech dziewczyna z HR-u coś wymyśli. Nie płacę jej tylko za dumanie nad waszymi kompetencjami, których i tak nie posiadacie. Przekaż jej, żeby wzięła się do roboty i znalazła nowego gońca.

– A co ze Stodolakiem?

– Będzie miał sporo wolnego czasu, żeby symulować, z tym wyjątkiem, że nie za moje pieniądze, tylko ZUS-u.

W słuchawce rozległ się jęk Joanny.

– Ale on nie symuluje. Jego żona zmarła, facet się załamał. Został z dwójką małych dzieci. Potrzebuje czasu, żeby się ogarnąć.

Ku własnemu zaskoczeniu Zoltan przypomniał sobie pogodną twarz mężczyzny, którego zatrudniał dwa lata temu i poczuł znienawidzony ucisk w klatce piersiowej. Serce zaczęło mu walić jak szalone, tętno podskoczyło.

Tylko nie teraz – pomyślał i w tej samej chwili usłyszał zdumiony głos dobiegający zza szyby:

– Pana ręka…

Spojrzał przez otwarte okno i napotkał duże oczy w kolorze niezapominajek. Wpatrywały się z niedowierzaniem w jego dłoń, po której niczym niespokojne węże wiły się czarne żyły. Zatrzymał wzrok na twarzy młodej dziewczyny. Pomimo tego, że była uderzająco piegowata, można było ją uznać za całkiem ładną. Może sprawiał to ten mały zgrabny nos i pełne malinowe usta. Coś w sobie miała. Nie wiedział, co. Nigdy raczej nie przepadał za tego typu urodą.

Przeciągnął wyniosłym wzrokiem po szczupłej sylwetce, którą okrywała okropna, czerwona peleryna z napisem „Głos Alwarnii" i wykrzywił usta.

Nie. Dziewczyna z pewnością nie była w jego typie. On wolał kobiety wyzywające. Kształtne. Konkretne. Takie, których ciało zdradzało, że są gotowe oddać siebie tylko na jedną noc, po czym zapomnieć, że Zoltan w ogóle istniał. Niestety, tego typu kobiety trafiały się bardzo rzadko. Najczęściej wskakiwały mu do łóżka dziewuchy, które zakochiwały się w nim jak głupie gęsi, robiąc sobie przy tym złudne nadzieje.

– Panie Brandenburg? Halo… – usłyszał głos Joanny.

Zoltan jednym ruchem palca przerwał połączenie.

Przeniósł wzrok na osłupiałą twarz dziewczyny od gazet, która wciąż wpatrywała się w jego rękę. Septyzacja rozpoczęła się na dobre. Żyły na dłoni nabrzmiały do granic możliwości, a te na nadgarstku zaczęły zmieniać kolor i wić się pod mankietem koszuli. Zostało mu niecałe trzydzieści minut.

Zoltan odebrał gazetę z piegowatych rąk, rzucił ją na siedzenie pasażera i zerknął ukradkiem na nagłówek krzyczący: *Plaga zgonów nastolatków!*

Nomina[1] wyraźnie mają dosyć wyzwolonej młodzieży – pomyślał. Gdy już miał ruszać z miejsca, dziewczyna ośmieliła się osunąć na wypolerowane lusterko jego maybacha i zemdleć.

[1] Liczba mnoga od słowa Nomen.

Gdy Aniela zobaczyła czarne monstrum, które wyglądało jak wehikuł samego diabła, domyśliła się, że nie siedzi w nim nikt przyjazny. Porządni, uczciwie pracujący ludzie nie posiadają takich aut. I do tego ta srebrna krata z przodu samochodu. Miało się wrażenie, że lada chwila buchną z niej piekielne płomienie.

Nieoczekiwanie z wnętrza burczącego potwora wyłoniła się szczupła dłoń i skinęła na nią, jakby była służącą.

Co za bezczelność!

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i zacząć rozdawać gazety na drugim pasie. Ale tego nie zrobiła. Wzięła głęboki wdech i podała zwinięty rulon znajomej pani ze srebrnej skody.

– Ale dzisiaj ukrop. – Kobieta z krótkimi włosami, przypominająca wyglądem Victorię Beckham, spojrzała na nią przychylnie, po czym odebrała gazetę.

– Jest dopiero dziesiąta. Wolę nie myśleć, jak będzie grzało w samo południe. – Aniela odgarnęła włosy z czoła. Myśl o parnym miejskim powietrzu sprawiła, że zrobiło jej się słabo.

– Wszystko okej? Jesteś dzisiaj jakaś blada.

– Taki los pracującego studenta. – Aniela wzruszyła ramionami, siląc się na uśmiech.

– Sesja?

Dziewczyna energicznie przytaknęła, aż jej się zakręciło w głowie. Zupełnie jakby była pijana. Ale czego można się spodziewać, kiedy się zarywa kilka nocy z rzędu? Gdyby tylko kierownik dał jej dzisiaj wolne, mogłaby wreszcie porządnie się wyspać.

Ale nie dał.

– Na szczęście rano zdawałam ostatni egzamin – dodała po chwili.

– I jak?

– Kobyła z anatomii. Dużo pisania, mało czasu. Trochę się przedłużyło i teraz mam problem z wyrobieniem normy.

Kobieta spojrzała na gazety przełożone przez usianą drobnymi piegami rękę.

– Dużo tego masz?

– Tutaj pięćdziesiąt sztuk, a w torbie jeszcze czterysta. – Aniela wskazała głową na czerwony wózek, stojący za barierkami na przystanku.

– Daj mi to. – Victoria wyciągnęła wypielęgnowane dłonie.

Dziewczyna się zawahała. Wyglądała, jakby się zastanawiała, czy rzeczywiście pozbycie się gazet w ten sposób to dobry pomysł.

– No już! – ponagliła kobieta. – Rozdam je u siebie w pracy.

Propozycja była kusząca. Tyle że kierownik dał im wyraźne wytyczne, a nieżyczliwi, dybiący na jej stanowisko, tylko czekali, aż powinie jej się noga.

– Obowiązuje zasada „jedna sztuka jednej osobie" – przytoczyła słowa szefa, które wpajał wszystkim jak pacierz.

– Na jakim świecie ty żyjesz? Chcesz być uczciwa, to idź do zakonu, choć i tam Bóg jeden wie, co wyczyniają – mruknęła pod nosem kobieta. – Daj mi te gazety. – Wychyliła się przez okno i zabrała naręcze prasy z rąk dziewczyny.

Aniela otworzyła szeroko niebieskie oczy, które okalały ciemne brwi i czarne, grube rzęsy, co u takich piegusów jak ona było niezwykłą rzadkością.

– No co tak patrzysz? Rozdawaj dalej. – Victoria odgoniła ją ręką z zawadiackim uśmiechem i zamknęła jej szybę przed nosem.

Aniela rozejrzała się dokoła i upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, ruszyła za przystanek. Wyciągnęła stos gazet, zrolowała jedną z nich, wróciła na swój pas, ominęła przyjazną właścicielkę skody i podeszła do czarnego smoka, z którego wystawała męska ręka.

Zamarła.

Dłoń mężczyzny zdobił tatuaż, ukazujący splot czarnych żmij. Prawdziwe arcydzieło, były jak żywe. Pochyliła się, aby dokładniej je zobaczyć. Cienkie gady wiły się po jasnej skórze… Chociaż nie.

Pociemniało jej w oczach.

– Pana ręka… – wydukała.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Najwyraźniej nauka do późnej nocy i upał zrobiły swoje: miała omamy!

Spokojnie. To tylko zmęczenie – podpowiedział głos rozsądku.

Po plecach spłynęła jej strużka potu. Nigdy nie uważała się za strachliwą, ale teraz czuła, że zaraz dostanie ataku paniki. Węże wpełzły pod mankiet czarnej koszuli. Tego widoku najwyraźniej jej mózg nie był w stanie przyswoić. Świat zawirował, przed oczami pojawiły się plamki, nogi zrobiły się miękkie w kolanach i Aniela zemdlała.

NOMEN ÁNGELOS

Drobna kobieta od skody i górujący nad nią właściciel maybacha obrzucali się nienawistnymi spojrzeniami. U ich stóp leżała ciemnowłosa dziewczyna o twarzy białej jak prześcieradło.

– Przecież widzę, że jest nieprzytomna. – Zoltan przesunął dłonią w rękawiczce po swoich falujących, kruczoczarnych włosach.

– To niech pan coś zrobi, na Boga. Jest pan przecież mężczyzną. – Kobieta spojrzała na niego z wyrzutem.

– Zgadza się. Jestem mężczyzną, a nie pielęgniarką.

– Dość tego, dzwonię po karetkę. – Victoria zdjęła z ramienia elegancką torebkę.

– Karetkę? Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najbardziej poważnie. Poza tym nie przypominam sobie, żebyśmy przechodzili na ty.

Klaksony zadźwięczały za ich plecami.

– Co prawda wstrzymamy na jakiś czas ruch – dodała, wyjmując telefon – ale zdrowie dziewczyny jest najważniejsze.

– Najważniejsze? A kim ona u diabła jest? To zwykła roznosicielka gazet.

– Jest pan niegrzeczny.

– A ty niezbyt inteligentna. Chcesz zablokować największe skrzyżowanie w dwumilionowym mieście z powodu omdlenia jakieś dziewuchy?

Niech to szlag! Zoltan poczuł żar rozlewający się w żyłach. Zostało mu niecałe dwadzieścia minut. Jeśli się stąd nie usunie, to urządzi niezłe przedstawienie. Wtedy dopiero babsko uzna, że czekanie na karetkę było fatalnym pomysłem.

– Proszę tylko na nią spojrzeć… – Właścicielka skody wskazała na nieprzytomną Anielę. – Musimy coś zrobić.

Ciemnoniebieskie oczy Zoltana, przez niektórych uznawane za granatowe, spoczęły na przesadnie szczupłej, choć całkiem zgrabnej roznosicielce gazet. I nie zrobiłaby ona na nim większego wrażenia, gdyby nie to, że wyglądała jak anioł otoczony płaszczem pastelowo-czekoladowych włosów. Długie ciemne rzęsy rzucały cień na piegowate policzki, a rozchylone usta odsłaniały perłowe zęby.

Znów poczuł znajome ukłucie w piersi, za które zrugał się w myślach. Tego już za wiele, musi się stąd ewakuować i to jak najszybciej.

– Nie będę tu tkwił cały dzień, bo jakiejś lalce zrobiło się słabo – oznajmił.

Kobieta wytrzeszczyła oczy, zamierając z telefonem w ręce.

– Pan chyba nie ma serca…

W kącikach zaciśniętych ust Zoltana zaigrał uśmiech.

– Tu niestety muszę się z tobą zgodzić. – Pochylił się i wziął nieprzytomną dziewczynę na ręce.

– Co pan…? – Victoria zachłysnęła się powietrzem jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Nie zamierzam tu stać i czekać na tych konowałów z pogotowia. Zbada ją mój lekarz.

Kobieta oniemiała.

– Będziesz tak sterczeć czy może otworzysz mi drzwi, żebym wsadził śpiącą królewnę do samochodu?



Aniela usłyszała męski głos, lecz była zbyt zamroczona, by otworzyć oczy.

– Tak. Oddycha równo – powiedział ktoś obok niej. – Jak tylko skończy się septyzacja, pojadę prosto do firmy. Tam ją obejrzysz. Mam nadzieję, że msza w katedrze już się skończyła, bo w przeciwnym razie znowu będzie draka z klechami.

Udało się jej uchylić powieki. Pierwszym, co zobaczyła, był samochód, który właśnie wyprzedzali z zawrotną prędkością.

Chwyciła się siedzenia. Wyczuła pod palcami miękką skórę. Rozejrzała się dookoła i wstrzymała oddech. Wnętrze, w którym się znajdowała, wydawało się tak szykowne, że aż trudno było uwierzyć, że znajduje się w aucie. Pojazd gwałtownie skręcił i wjechał z impetem na plac, pośrodku którego stała dwunastowieczna katedra.

– Maurycy, kończę. Jestem na miejscu.

Aniela spojrzała na siedzenie kierowcy, skąd dobiegał niski głos. Młody mężczyzna zdawał się wypełniać całe wnętrze swoją wyniosłością. Włosy miał czarne jak węgiel, nos ostry, usta wąskie i zacięte, twarz pociągłą, a rysy stanowcze.

– Poczekaj tu, zaraz wracam – powiedział, nawet na nią nie spoglądając. Wyjął słuchawkę z ucha, rzucił na deskę rozdzielczą i wysiadł z samochodu.

Dziewczyna odprowadziła wzrokiem smukłego i wysokiego jak topola mężczyznę, który szybkim krokiem pokonywał schody katedry. Ciemne garniturowe spodnie opadały na eleganckie buty, podkreślając długość nóg, czarna koszula opinała silne ramiona, a skórzane rękawiczki skrywały dłonie.

Poczuła uderzenie gorąca. To on skinął na nią na skrzyżowaniu. Przebłyski wspomnień zamajaczyły jej przed oczami. Jedyne, co sobie przypominała, to widok wijącego się tatuażu, a potem... Pustka. Ciemność. Musiała zemdleć.

Oklepała pośpiesznie pelerynę.

Torebka znajdowała się na swoim miejscu. Ale za to zostawiła na przystanku wszystkie gazety! Kierownik pomyśli, że porzuciła pracę. Miesiąc czekała, żeby ją zatrudnił. Może zdoła się jeszcze jakoś wytłumaczyć? Zerwała się z miejsca. Pasy bezpieczeństwa wbiły się w pierś tak mocno, że zabrakło jej powietrza. Opadła na fotel, czując, jak robi jej się słabo. Starała się uspokoić oddech. Policzyła do trzydziestu, sięgnęła do pasów, odpięła je i otworzyła

drzwi. Gdy tylko stanęła o własnych siłach, poczuła zawroty głowy.

Zachwiała się.

Usiadła z powrotem w fotelu.

Co za koszmar, nie dość, że utknęła w aucie obcego faceta, to jeszcze najpewniej straci pracę.

– *Pamiętaj, dupeczko, że na twoje miejsce czekają setki takich studenteczek jak ty* – zadźwięczały jej w głowie słowa łysiejącego mężczyzny, który zatrudniał ją sześć miesięcy temu. Przepocony, obcisły podkoszulek i chytry uśmieszek na jego lisiej twarzy jej nie odstraszyły. Potrzebowała pracy i to bardzo.

Posada roznosicielki nie była lekka. Już od szóstej rano Aniela rozdawała gazety na głównym skrzyżowaniu w Alwarnii, co oznaczało, że aby dojechać na miejsce zbiórki, odebrać pisma i stamtąd dotrzeć do centrum, musiała wstać o czwartej trzydzieści. Czasami nie opłacało jej się nawet kłaść do łóżka, kiedy z klubu tańca towarzyskiego Quickstep, w którym dorabiała jako pomoc biurowa, wracała do małego pokoiku na przedmieściach dopiero po dwudziestej trzeciej. Zanim zjadła kolację, umyła się, ogarnęła nieład pozostawiony na łóżku i przejrzała notatki z zajęć, robiła się trzecia. I tak dzień w dzień – rano gazety, potem studia, po nich szkoła tańca, powrót nocnym autobusem i nauka do późna. Taki styl życia sprawiał, że coraz częściej była na skraju wyczerpania. Szczególnie gdy przed południem padał deszcz albo, tak jak dziś, z nieba lał się żar. Upalne lato znosiła jednak lepiej niż zimę. Gdy siarczysty mróz powodował zamarzanie

włosków w nosie, a czucie w palcach wracało dopiero po piętnastu minutach spędzonych w cieple, naprawdę miała ochotę zrezygnować. Ale się nie poddawała. Wręcz przeciwnie, nawet w najgorszym dniu srogiej zimy, gdy temperatura spadła poniżej minus dwudziestu siedmiu stopni, potrafiła wyrobić normę za siebie i Gośkę, która poprosiła ją wtedy o zastępstwo. Aniela nie narzekała. Wiedziała, po co i dla kogo tak ciężko haruje. Siedemdziesiąt kilometrów od Alwarnii, w wiosce Bystra, mieszkało dwoje ludzi, dla których warto było znosić niepogodę i zmęczenie.

Gdy ponad rok temu z powodu jej lekkomyślności zmarł ojciec, podjęła decyzję, że naprawi szkody, które wyrządziła. Wyjechała do miasta, by ciężką pracą odzyskać to, co zostało utracone i odbudować popadające w ruinę gospodarstwo. Postanowiła, że będzie pracować i przesyłać matce pieniądze. Zostanie weterynarzem i powróci do rodzinnej wsi. Dostała się na Uniwersytet Przyrodniczy w Alwarnii, gdzie przez ostatni rok godziła naukę z ciężką pracą, od której zależało życie jej matki i brata.

Boże, nie pozwól, by mnie zwolnili… – pomyślała i niespodziewanie ujrzała przerażony tłum, zbiegający ze schodów katedry. Wypłoszeni ludzie uciekali ze zgrozą w oczach, jakby gonił ich sam diabeł. Starsza kobieta, nie zważając na trzymaną w ręku laskę, biegła, utykając na jedną nogę.

– Co się stało? – zawołała Aniela w jej stronę.

– Ktoś podłożył bombę!

– Co?!

– Uciekaj, złociutka, bo zaraz wszystko wybuchnie – dodała staruszka i niezdarnie pobiegła przed siebie.

Aniela rozejrzała się po placu. Kilka sekund wystarczyło, by zupełnie opustoszał. Zagryzła wargę i spojrzała na srebrny breloczek, zwisający ze stacyjki. Wyglądało na to, że facet zostawił kluczyki.

Miała dwa rozsądne wyjścia: wysiąść i uciekać, gdzie pieprz rośnie, albo odpalić silnik i zrobić to samo, tylko że autem.

Nie skorzystała z żadnego z nich.

Zamiast tego przeklęła w duchu wpojone przez matkę zasady moralne, wyciągnęła kluczyki ze stacyjki, wysiadła z samochodu i gdy tylko poczuła, że może ustać na nogach, ruszyła w stronę katedry.



Zoltan runął z dwóch metrów na podłogę i łapczywie zaczerpnął powietrza. Jego naga pierś unosiła się i opadała niespokojnie. Leżał bezwładnie na plecach i próbował opanować oddech. W tym czasie septyka, przypominająca wijącą się pępowinę, zaczęła się kurczyć, aż została wchłonięta pod powłoki brzuszne. Pozostał po niej tylko ślad w postaci pępka.

Spróbował podnieść się z posadzki. Bezskutecznie. Serce waliło mu ogłuszająco, a żyły rwały, jakby ktoś napełnił je wodą do granic możliwości i czekał, aż pękną niczym balon. Przechodził septyzację setki razy, a jednak im starszy był jego organizm, tym ciężej to znosił. Maurycy ostrzegał, że w pewnym momen-

cie serce może nie wytrzymać i stanąć na zawsze. Ale Zoltana to nie obchodziło. Przecież on i tak nie miał serca. Poza tym jaki miał wybór? Od dziecka zajmował się przenikaniem. Był Laufrem. Nie miał prawa normalnie żyć. Jeśli w ogóle tę marną egzystencję, pełną fałszu i ingerencji w ludzki los, którym i tak władały Nomina, można było nazwać życiem. Nie żeby się skarżył. Miał wszystko, czego Nomen Zoltán zapragnęło – bogactwo, władzę i znajomości na całym świecie; kobiety lgnęły do niego jak ćmy do światła. A jednak... ostatnio coraz częściej dopadało go dziwne uczucie, którego nienawidził, a które pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Co gorsza, nim zdążył je rozpoznać, zaczynała się septyzacja. Zdarzyło mu się nawet kilka razy pożałować, że żyje. Gdyby nie ten przeklęty dar, może byłby szczęśliwszym człowiekiem? – pomyślał, po czym skarcił się w myślach za rozczulanie się nad sobą.

Wstał z jękiem z kamiennej posadzki, zapiął koszulę, schował rękawiczki do kieszeni, wykonał krążenie głową, by rozciągnąć mięśnie szyi i udał się w stronę wyjścia.

Ogromne, odlane z brązu drzwi żegnały go zamyślonymi twarzami świętych, na których wcześniejszy widok procesu septyzacji nie zrobił żadnego wrażenia. Zoltan przekręcił mosiężny klucz w zamku i chwycił za zdobioną klamkę. Wtedy ta niespodziewanie opadła, a drzwi się otworzyły. Coś ciepłego i słodko pachnącego wpadło wprost na niego.

Dziewczyna podniosła głowę i zrobiła krok w tył.

– Miałaś czekać w aucie. – Zoltan zareagował bez chwili wahania.

– Nie chciałam mieć cię na sumieniu. W katedrze jest bomba, więc lepiej się zbieraj. – Odwróciła się w stronę schodów.

Zoltan ani drgnął.

– Chyba wydałem ci jasne polecenie?

Aniela przystanęła i spojrzała w jego stronę.

– Polecenie? – Uniosła brwi. – Cóż, widocznie w twoim ograniczonym słowniku nie ma stosownego określenia na kogoś, kto próbuje ostrzec drugą osobę przed niebezpieczeństwem, narażając przy tym własne życie. Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale sądząc po twoim butnym tonie, nikim, kogo chciałabym znać. Polecenia możesz sobie wydawać psu, choć i tak mogę tylko współczuć zwierzęciu, które będzie należało do takiego właściciela jak ty, i jeśli uważasz, że…

– Radzę wziąć oddech, przez ten monolog grozi ci niedotlenienie.

Dziewczyna prychnęła jak obruszona kotka.

– Jesteś zadufanym arogantem. Masz swoje kluczyki. – Rzuciła breloczek, który w ułamku sekundy znalazł się w męskiej dłoni i odwróciła się na pięcie.

Zoltan zmarszczył czoło. Jak ona śmie pokazywać mu plecy? Co to za Nomen?!

– Stój!

Lecz ona schodziła już po schodach.

– Stój, ty…! – zawołał mocnym głosem, na dźwięk którego wszyscy zazwyczaj kulili się jak zlęknione dzieci.

Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

– No, słucham… – Rzuciła mu śmiałe spojrzenie. – Jakim epitetem tym razem mnie określisz?

Zoltan uśmiechnął się sam do siebie.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Słucham?

– Imię. Jakie jest twoje imię i nazwisko?

– I kto tu jest niemądry? – Aniela przestąpiła z nogi na nogę. – Za chwilę możemy wylecieć w powietrze, a ty mnie pytasz o nazwisko. Jesteś jakimś szalonym onomastą czy co?

Zoltan zmrużył oczy, wpatrując się w jej piegowatą twarz. Niby taka niepozorna buźka, a wyszczekana.

– Nie ma tu żadnej bomby. – Założył ręce na pierś.

– Skąd ta pewność?

– Bo ja im o niej powiedziałem. – Ruszył swobodnym krokiem w dół schodów, nie spuszczając wzroku z dziewczyny.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała, choć sama nie wiedziała, po co właściwie z nim rozmawia. Facet od początku wydawał jej się nie do końca normalny.

– To nie powinno cię interesować. – Stanął naprzeciw niej i przechylił głowę, przyglądając się wnikliwie, jakby zamierzał ją prześwietlić. – To jak się nazywasz?

– To nie powinno cię interesować. – Odpłaciła mu tym samym.

Zoltan przewrócił oczami.

– Wariatka ze skody spisała moje dane osobowe, na wypadek gdyby policja znalazła cię zaszlachtowaną

w jakimś rowie. Nic ci się nie stało, więc przynajmniej mam prawo wiedzieć, jak się nazywasz.

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją, jakby nie miała już siły z nim dyskutować.

– Aniela Bukowiecka. Zadowolony? A teraz do widzenia. – Odwróciła się na pięcie. – A raczej żegnam – poprawiła się i ruszyła schodami w dół.

– Aniela… – Zoltan mruknął pod nosem, jakby rozkładał jej imię na czynniki pierwsze. – Mogłem się domyślić! – zawołał za nią. – Emocjonalność, brak opanowania. Pasuje jak ulał. Powinnaś łatwo ulegać wpływom, skąd więc ta wrogość w stosunku do mnie?

Nic nie odpowiedziała.

– Postaraj się nie wpaść po drodze pod samochód i nie mdleć, bo jeśli coś ci się stanie, będę pierwszym podejrzanym – powiedział do jej pleców.

Aniela bez słowa zeszła na szeroki plac i pewnym krokiem powędrowała przed siebie. Zoltan ruszył w stronę auta, zadowolony, że tak łatwo pozbył się problemu. Otworzył zamaszyście drzwi samochodu i już miał wsiadać, gdy zauważył, że dziewczyna nieoczekiwanie zwalnia, zatrzymuje się, chwieje i…

Żeby ją diabli wzięli!

W chwilę później, przeklinając pod nosem, trzymał w ramionach jej zemdlone ciało.